

Austria - 21 Sch. Belgium - 62 BF. Canada - 2.10 \$ CAN. France - 10 F. Germany - 4 DM. Italy - 2.260 L. United Kingdom - 1 £. USA - 1.85 \$.

Wkazuje się od 16 maja 1954

Pano rama

NR 9-10 (2365-2366) 27 II - 5 III 2000
CENA 1,50 ZŁ



PL ISSN 0475-6347 Nr indeksu 368563 Y 9012 C

Budowle piękne i intrygujące (część 2)



Zielony hit

Jest jeden budynek na świecie, którego oryginalności i finezji projektu nie można pokazać odpowiednio na żadnej fotografii. Nawet z daleka trudno go dostrzec. Jest to nowy budynek parlamentu w Kanberze. Duży, nowoczesny gmach, ale pokryty trawnikami tak, że robi wrażenie jakby był wzniesieniem (a jest jego zakończeniem), albo gigantyczną ziemianką. Można po nim chodzić, można go obejść zapominając, że to jest budynek, albo po nim biegać z czego skwapliwie skorzystaliśmy. Jak stwierdził Grzegorz: „różne rzeczy robiłem w parlamencie, ale o bieganiu po dachu nie było mowy”.

Wrażenie prostoty znika po wejściu do środka. Pokryty marmurem hol z kolumnami symbolizującymi eukaliptusowe las i schodami majestatycznie prowadzącymi na wyższe kondygnacje każą zapomnieć o pozornej skromności zewnętrznej gmachu. Architektura wewnątrz jest po prostu wspaniała - bardzo często odwołuje się do historii lub przyrody Australii. Siedemdziesięciu artystów i rzemieślników brało udział w dekorowaniu, a trzy tysiące współpracowało.

Gmach parlamentu zamyka „narodowy trójkąt” - obszar pomiędzy trzema głównymi alejami, gdzie znajdują się najważniejsze urzędy państwowe,

galerie i muzea. Przypomina to inne stolice budowane według z góry określonego projektu - Waszyngton, Brasilię czy Pretorię. Układ taki znakomicie pasuje do Kanberzy, nie bez powodu zwanej miastem parkiem. Godzinami można chodzić po alejkach wokół jeziora imienia Burley'a Griffina'a, który zaprojektował Kanberę na początku stulecia, gdy parlament zdecydował o budowie nowej stolicy, mniej więcej w pół drogi między Sydney i Melbourne, podziwiając skrupulatność w doborze roślinności, rzeźby i altanki starannie rozmieszczone na całej przestrzeni. I choć byliśmy w środku zimy, wszystko wydawało się nadal tonąć w zieleni. Można powiedzieć, że stworzono doskonałe warunki tym, którzy rządzą tym wielkim i bogatym krajem.

A jednak sami zainteresowani są znacznie mniej zadowoleni. Ani parlamentarzyści ani przedstawiciele rządu nie mieszkają tu na stałe i niechętnie się przenoszą do Kanberry. W praktyce oznacza to, że chętnie wykorzystują najmniejszy powód, aby udać się w delegację - najczęściej tam, gdzie są ich rodziny. Sporo na ten temat żartuje się, czasami dochodzi do drobnych skandalików, gdy premier jest zmuszony kareć za absencję. I prawdę mówiąc wcale się im nie dziwię. W Kanberze nie ma... życia. O ile w ciągu dnia jeszcze można obserwować namiastkę ruchu ulicznego i typowej dla miast aktywności (mieszka tu bowiem ok. 23 tys. ludzi) to wieczorem wszystko pustoszeje.

Świątynia kultury

Ludzie kochają zieleni i świeże powietrze, ale na co dzień jakby lepiej czują się w ulicznym

zgiełku. A tego najwięcej z kolei można znaleźć w Sydney.

Trudno jest się oprzeć urokowi tego miasta. Tętni i wibruje energią, która kumulowała się przez ponad dwieście lat - od czasu, gdy Lord Sydney uznał wybrzeże zatoki Botany za najlepsze miejsce dla wyładunku transportów więźniów oskarżonych o kradzież. Do dziś zresztą „aussi” - tak potocznie nazywa się Australijczyków, których korzenie sięgają pierwszego okresu kolonizacji kontynentu - mają na tym punkcie kompleksy. Zarzekają się, że ich prapra...dziadek został zesłany za kradzież bochenka chleba. Jakby nie było, nie ma to teraz znaczenia, a od kilkudziesięciu lat wielu ludzi z biedniejszych regionów świata marzyło o takiej zsyłce. Australia jednak przez lata zazdrośnie strzegła swoich granic i bardzo niechętnie przyjmowała nowych przybyszów. Dopiero kilka lat temu zdecydowała się wpuścić nową, dużą falę emigracji i kilkaset tysięcy Azjatów rozpoczęło tutaj budowę nowego życia. Co ciekawe, ostatnio przyjeżdżają też ludzie z „pobliskiej” Nowej Zelandii. Tylko w ciągu minionych 12 miesięcy przybyło ich 22 tysiące.

Większość z emigrantów decyduje się pozostać w Sydney, zmieniając nie tylko statystycznie strukturę społeczną miasta, ale i jego codzienne życie. Rozkwitły małe restauracje, sklepy i punkty usługowe, czynne długo i starające się cenami konkurować z innymi. Jak mówią miejscowi, miastu jak i samej Australii potrzebny był taki zastrzyk „świeżej krwi”.

Tym samym miasto upodobniło się do San Francisco i Vancouver, a także pod pewnymi względami do Kapsztadu i Rio de Janeiro. Nie tylko położenie nad zatoką o krętym, urozmaiconym jak we fiordach wybrzeżu, rozwój wokół wcześniejszego portu, sprzyja porównaniu, ale pojawienie się dzielnic chińskiej, wietnamskiej, kambodżańskiej, hinduskiej nadaje tym miastom podobnego charakteru. Ryż z różnościami czy wieprzowina na słodko-kwaśno tak samo smakuje. Sydney ma jednak jedną niezaprzeczalną przewagę - na-



wet w środku miasta można tu mieć dom z bezpośrednim dostępem do wód Oceanu Spokojnego, choć bezpośrednio go nie widać. Miasto jest weśnięte w różne zakamarki portowej zatoki, która ciągnie się dziesiątki kilometrów.

Sydney jest też jedyne w swoim rodzaju, gdyż żadne z innych miast na świecie nie ma takiej opery. Ten gmach nadaje mu niepowtarzalnego wyglądu i jeżeli pokaże się na pocztówkach czy w dzienniku telewizyjnym natychmiast jest roz-

poznawany na całym świecie. Jest to budynek, który oglądany z bliska czy z oddalenia, od strony miasta, czy z wody od strony zatoki, za dnia czy nocą, gdy odpowiednie oświetlenie nadaje mu dodatkowej lekkości wyglądu równie imponująco i pięknie. Ale zachwyty natychmiast mija, gdy wejdzie się do środka. Szare, surowe ściany, proste wyposażenie i słabe oświetlenie nadają wnętrzu wygląd zaadaptowanej piwnicy w bloku z wielkiej płyty. Zresztą, duński architekt Joern

Utzon przyznaje się tylko do autorstwa samej bryły. Podobno wystrój wewnętrzny przez niego przewidziany był równie znakomity, ale inwestorowi zabrakło pieniędzy, politykom wyobraźni a samemu projektantowi cierpliwości, aby w latach 60. budynek został wykonany. To co jest w środku obecnie to wciąż prowizorka. Mimo to, a także mimo cen jak w operze wiedeńskiej czy nowojorskiej, bilet na przedstawienie jest bardzo trudno dostać. Nam udało się to i nawet dostaliśmy w bardzo dobrym rzędzie. Przedstawienie „Tosca” Pucciniego było udane, choć Grze-

elegancka. Urządzenia odpowiedzialne za znakomitą akustykę, z wielkim kunsztem są wkomponowane z całością. Przyznam, że nie mogłam się napatrzeć na gigantyczny kryształowy żyrandol, który jak kaskada spuszczał się przez kilka kondygnacji. Tu naprawdę wszystko „gra” - tak na scenie jak i poza nią.

Być może jednak, również Opera w Sydney nabierze nowego, znacznie lepszego wyglądu. Rozpoczął się bowiem jej generalny remont, który ma objąć przede wszystkim jej wnętrze. Odnowiony gmach ma być gotowy na olimpiadę, która



gorz twierdził, że Tosca której słuchał nieco wcześniej w Kijowie była większym wydarzeniem artystycznym.

Po względem akustyki również mieliśmy okazję być w wielu lepszych salach. Nieodcignionym wzorem może być tu sala, w której koncertuje Melbourne Symphony Orchestra. Jest to nowy budynek, w kształcie głęboko wpuszczonej w ziemię rotundy - podobnie jak Albert Hall w Londynie czy Eastman Theatre w Rochester. Z zewnątrz wygląda dość niepozornie, ale za to wewnątrz jest wprost doskonały. Nie tylko aranżacja przestrzeni odpowiednio oddaje charakter budynku - wygodne, przestronne foyer, odpowiednio usytuowane schody i przejścia, ale również główna sala koncertowa została znakomicie zaprojektowana. Jest duża a mimo to ma w sobie wiele ciepła, jest nowoczesna - ale bardzo

rozpoczyna się we wrześniu. Z powodu olimpiady obecnie całe miasto podlega renowacji, co jak twierdzą mieszkańcy, bardzo się mu przyda. Wioska olimpijska powstaje 12 km od centrum i z pewnością zaskoczy sportowców i turystów nowymi, ciekawymi architektonicznymi obiektami. Przyznam, że byłabym zaskoczona, gdy się tak nie stało. Podróżując wiele po świecie w żadnym innym kraju nie spotkałam w miastach tak wielu ciekawych obiektów, odważnych pomysłów i dowodów na architektoniczną wyobraźnię. I nie jest to wyłącznie zasługa architektów, ale może bardziej władz miast, które nie boją się wybierać oryginalne projekty, ryzykować często krytykę mieszkańców, która - jak dowodzi historia Opery - trwa krótko, a potem podziwiany jest już tylko efekt.

ALICJA KOŁODKO

Zdjęcia GRZEGORZ KOŁODKO